

WAKACJE MARZEŃ

Droga Beato!

15.10.2000

Długo nie mogłam się zabrać do napisania listu ponieważ wiele się wydarzyło ostatnio w moim życiu. Zapewne nie wiesz, że po śmierci mojej teściowej udało nam się nawiązać kontakt z ojcem Damiana. Okazało się, że mieszka od ponad dwudziestu lat w USA w konkubinacie z niejaką Iga. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności wybierał się właśnie do Polski w sprawach służbowych i wyraził chęć spotkania z nami. Umówiliśmy się w restauracji. Było całkiem miło choć sztywno, co jest zrozumiałe ze względu na sytuację. Potem wymieniliśmy kilka listów i kontakt z powrotem się rozluźnił. Gdy już wydawało nam się, że z tej znajomości jednak nic nie będzie, przyjechał znowu i sam zaproponował spotkanie. W międzyczasie urodziłam syna – Bartka. Tym razem nasze relacje z teściem były dużo bardziej swobodne – do tego stopnia, że zaproponował nam dwumiesięczną wycieczkę po całych Stanach. Pewnie domyślasz się, znając nasze zamiłowanie do turystyki, jak bardzo się ucieszyliśmy. Wkrótce udaliśmy się do konsulatu, gdzie bez większego problemu wszyscy w trójkę (ja, Damian i Bartek) otrzymaliśmy wize. Prawdopodobnie przyczyniły się do tego nasze jeszcze nie skończone studia. Radość była ogromna! Oczyma wyobraźni widzieliśmy siebie skaczących po falach oceanu, oglądających kaktusy na pustyni i wspinających się po Górach Skalistych. Ameryka znana dotychczas tylko z filmów, wydawała nam się pięknym snem, który miał się teraz spełnić. Do tego, nie ukrywam, bardzo liczyliśmy na sympatyczne, rodzinne układy z nowo poznanym "tata" i jego przyjaciółką...

Niestety wkrótce rzeczywistość okazała się znacznie różna od naszych oczekiwań. Najbardziej obawiałam się Igi – mojej nowej "teściowej". Tymczasem zaraz po naszym przylocie była bardzo sympatyczna, uśmiechnięta i muszę przyznać, że udało jej się uspić moją czujność. Zastanowiło mnie tylko, że mówiła o Teściu w samych negatywach. Już na drugi dzień dowiedzieliśmy się, że dom jest własnością Igi a teść mieszka w nim "za grosze" i ma obowiązek robić "męskie naprawy". Poza tym właśnie się pokłócili i mają zamiar się rozstać (po dwunastu latach). Teść śpi w samochodzie na podjeździe do garażu. Od kilku lat mają oddzielne półki w lodówce (oddzielny chleb, mleko, ziemniaki, herbatę – całe jedzenie, szampon, pastę do zębów...wszystko). Oboje są bardzo wulgarni i ordynarni. Ublizają sobie cały czas – nawet w towarzystwie. Jednym słowem atmosfera taka, że „można by siekierę powiesić”.

Spaliśmy w maleńkim pokoiku na górze, ale nie dostaliśmy do dyspozycji ani jednej półki na swoje rzeczy. Walizki mieliśmy na dole (w zupełnie innym pokoju) i nie wolno nam się było rozpakować. Na trzeci dzień trochę się zaniepokoiłam, bo teść pokazywał Bartkowi jak kroić na kawałki żywą osę (!), a na czwarty wyjechaliśmy na "próbny" wycieczkę do Detroit. Wszyscy w trójkę byliśmy jeszcze mocno oszołomieni z powodu różnicy czasu. Problemy zaczęły się gdy po sześciu godzinach jazdy w okropnym upale bez żadnej przerwy, nasz dwuletni Bartek zaczął marudzić. Dziadek budził go gdy mały zasypiał bo "jak gówniarz śpi w dzień, to potem nie chce w nocy". Gdy na postoju dziecko płakało tracąc któregoś z nas z oczu to "gówniarz jest rozdziadowany". Na próbę mojej sugestii, że taki wyjazd to na prawdę duży szok dla dwulatka usłyszałam, że "każda matka tak p..... o swoim synusiu. Poza tym to jesteśmy „niepoważni poświęcając 80% czasu swojemu dziecku (co z niego wyrośnie?), kupując mu szampon dla dzieci (różni się przecież tylko opakowaniem i ceną) i gotując mu zupki (w Ameryce się dzieciom nie gotuje). A w ogóle to „każdy bachor, niezależnie czy ma dwa lata czy dzieścięć powinien siedzieć na d....!” W efekcie tego po dwóch tygodniach wróciliśmy okropnie wściekli i przestraszeni. Damian stwierdził, że nie chce z nim już nigdzie jechać, a ja byłam gotowa spróbować, bo cały czas miałam nadzieję, że jeszcze coś dobrego z tego wyniknie. Po powrocie dowiedziałam się że Bartek nie może mieć w ręczce żadnej zabawki, bo jak coś porysuje to nas dziadek "wyp... na ulicę". Gdy się czymś bawił - wrywali mu zabawki bo mógłby coś uszkodzić, a odzywki typu "zamknij się szczeniaku" były na porządku dziennym. Staraliśmy się jak najmniej przebywać w domu, żeby cała ta atmosfera nie odbiła się małemu na psychice.

Najbardziej z tych naszych konfliktów cieszyła się Iga i z dnia na dzień stawała się coraz "słodsza ciocia". Oni między sobą kłócili się coraz bardziej i Iga miała w planie sprzedać dom. Po kilku dniach pojechaliśmy na jeszcze jedną, czterodniową wycieczkę, która o dziwo okazała się całkiem sympatyczna.. Przy tej okazji udało mi się przeprowadzić z teściem szczerą rozmowę, w której ustaliliśmy, że do końca września spróbujemy się wzajemnie tolerować i w miarę miło spędzić czas, a potem się wyniesiemy i czasem będziemy się spotykać na kawie. Podczas wszystkich naszych rozmów Damian był nieobecny. Zresztą oni ze sobą prawie wogóle nie rozmawiali. Prawda jest niestety taka, że obaj tego nie chcieli. Ja też nie bardzo miałam na to ochotę, ale wydawało mi się, że wypada....

Tak więc tym razem wróciliśmy w całkiem dobrych humorach, ale w domu okazało się, że mamy inny problem – Iga. Zreflektowała się w poprawie naszych stosunków i nagle okazało się, że ja” mam śmiech WYŚMIEWNY, czym ją świadomie obrażam, chodzę za ciężko i z tego powodu odpadają płytki na podłodze w kuchni, marnuję prąd gdy czytam książkę (w Ameryce się nie czyta! Co ty czytasz? Po co czytasz?), jestem bezczelna bo gdy są goście i umyję naczynia to potem ich nie schowam do szafek tylko wracam do stołu, itp.” Oczywiście jak się zapewne domyślasz, o naszym planowanym zwiedzaniu Ameryki nie mogło być mowy więc aby wykorzystać z pożytkiem pozostały czas, Damian poszedł do pracy na budowie a ja zostałam w domu z Bartkiem i próbowałam znaleźć jakieś mieszkanie. Sprawa była niesamowicie trudna, bo w Ameryce, jak ktoś ma małe dziecko albo psa, to z góry jest skreślony jako lokator. Zadzwoiłam na siedemdziesiąt ogłoszeń i ... nic. Tymczasem koniec września zbliżał się nieubłagalnie i atmosfera stawała się coraz trudniejsza do zniesienia. Damian pracował od rana do wieczora, a ja przez calutki dzień byłam zdana na łaskę teścia i ”teściowej”, którzy z inicjatywy Igi nagle się pogodzili i przeżywali ”miodowy miesiąc”. To był koszmar! Wszystkie awantury odbywały się pod nieobecność Damiana, chociaż niejednokrotnie jego dotyczyły. Poniewierali mną do tego stopnia, że potrafili się zapytać ”czy ty nie masz dzisiaj przypadkiem biegunki bo ubikacja jest brudna”. Bartek kilka razy dostał od dziadka klapsa, był bity po rękach, a nawet ciągnięty za ucho! Nigdy wcześniej nie znalazł takich zachowań.

Bańka pękła gdy ostatnia szansa na mieszkanie przepadła. Było to 28 września. Damian oczywiście był w pracy a ja z Iga pojechałam załatwiać to mieszkanie. Gdy okazało się, że sprawa jest nieaktualna - rozpętała się burza. Usłyszałam bardzo wiele obelg i niemiłych słów a ostatecznie, że jeśli się nie wyniesiemy do końca września to nam ”wyp..... walizki na ulicę” (byliśmy zaproszeni na dwa miesiące czyli do końca października). Tak się zdenerwowałam, że postanowiłam natychmiast się wyprowadzić, choćbym miała spać na ulicy! O ile przez pięć tygodni wszystkie upokorzenia znosiłam z zaciśniętymi zębami i nic się nie odzywałam, teraz powiedziałam parę słów co o tym myślę. W trakcie tej okropnej awantury teść obrażał nas, nieżyjącą matkę Damiana i groził, że narobi nam kłopotów. Stwierdził, że „zwaliliśmy mu sie na głowę, siedzimy u niego, zjemy i woda w gębę”. Na zakończenie dodał, że Damian pracuje to może zostać, a ja z Bartkiem mam się wynosić do Polski, bo” nie będzie w domu trzymać darmozjada”. Po tej rozmowie włożyłam Bartka do wózka i wyszłam, nie mówiąc nawet do widzenia. Muszę tutaj dodać, że teść mieszka w małej miejscowości na dalszych przedmieściach Chicago. Do miasta trzeba jechać samochodem ponad 40 minut. Do najbliższego sklepu szłam na nogach ponad pół godziny. Ludzie poruszają się tam tylko samochodami i nikt nie potrafił mi powiedzieć jak dostać się do miasta przy pomocy komunikacji.

Zatrzymaliśmy się na trzy dni u naszych nowopoznanych znajomych, którzy bez większego problemu pomogli nam znaleźć mieszkanie poręczając za nas. Damian wieczorem pojechał po nasze rzeczy, a jego tatuś nawet nie wychylił głowy ze swojego pokoju. Po paru dniach przyjechał z Kanady mój brat i pomógł nam się urządzić. Prawdopodobnie powinniśmy byli w tym momencie wrócić do Polski, ale nie pozwoliła nam na to nasza ambicja. Nie należymy do tych, którzy wracają „na tarczy”, więc postanowiliśmy zostać do końca półrocznej wizy, trochę odłożyć, a głównie udowodnić wszystkim, że sami damy sobie radę.

Taki jest właśnie powód, dla którego tak długo do Ciebie nie pisałam.

Myślę, że teraz uda nam się korespondować już regularnie. Pozdrawiam serdecznie Ciebie, całą Twoją rodzinę i czekam na wieści. A.

Cześć Beatko!

08.12.2000.

Skończyła mi się niestety praca w hotelu i mam trzymiesięczne tzw. wakacje. Podobno w zimie w hotelach jest mniejszy ruch, a my tylko mamy za zadanie „zasilać” regularny personel w czasie sezonu. Pod koniec już mi całkiem szybko szło to sprzątanie pokoi co jest bardzo istotne przy pracy na akord. Bardzo lubiłam też wydawać napiwki na nieliczne bzdury. Poza tym atmosfera pracy była tam całkiem OK! Ćwiczyłam angielski prowadząc durne dialogi z gośćmi hotelowymi i nawet zaczęłam trochę rozumieć Murzynów, bo byli moimi supervizerami. Ostatni tydzień pracy w hotelu wyjątkowo obfitował w napiwki i był bardzo oryginalny. Ponieważ miał się zacząć remont, naszym zadaniem było opróżnianie pokoi ze wszystkiego co się da (z wyj. mebli). Uzbierałam więc pięć wielkich siatek papieru toaletowego, dzięki czemu będziemy do wiosny „załatwiać się za darmo”. Poprzynosiłam też mydła, szampony, ręczniki, poduszkę i koc, a w ostatni dzień pozwolili mi nawet wziąć sobie żelazko! Ponieważ bardzo

mi te przymusowe wakacje nie pasują, postanowiłam przeczekać je w jakimś serwisie sprzątającym. Zgłosiłam się więc do dużego serwisu, którego numer telefonu spisałam z reklamy na samochodzie. Jest to serwis tzw. grupowy: sprzątamy w cztero-osobowych grupach około siedmiu domków dziennie, czyli około 9 – 10 godzin, a z dojazdem wychodzi czasem nawet 12 godzin. Grupa jest podzielona na: panią kuchenną”, panią „łazienkową”, panią odkurzaczkowa i panią „grupową”. Ja miałam do wyboru łazienki albo odkurzacz, więc jak się pewnie domyślasz zostałam panią odkurzaczkowa”. Podobno jest to zajęcie najgorsze, ale wiesz, że do mycia łazienek miałam zawsze awersję.. Największym problemem jest dla mnie fakt, że na zbiórkę muszę się stawić rano o godz. 5:45, a co za tym idzie muszę wstawać o 5:00.

Poza tym dwa dni temu był u nas Św. Mikołaj , a właściwie to Santa. Co prawda tutaj przynosi on prezenty dopiero w Święta, ale my duszą jesteśmy w Polsce, więc do nas też przyszedł teraz. Przyniósł mi aparat, Damianowi radio a Bartkowi wymarzoną ciuchcię, na konto której już od trzech tygodni był grzeczny (uważaj Bartek, bo Ci Mikołaj ciuchci nie przyniesie). Muszę przyzna, że Amerykanie mają świętowanie opanowane do perfekcji. Na każdym domu, drzewie słupie, klombie dosłownie wszędzie są malutkie światełeczka. Jeżdżą Św. Mikołaje w dorożkach i nawet konie mają świąteczne czapeczki. Wszędzie grają koledy i jest tak już od 23 listopada – bajka. No to tyle na razie. Ściskam cię serdecznie. A

Cześć Becia

04.02.2001

Dzisiaj jest niedziela i tak sobie siedzę i marzę, żeby trwała jak najdłużej. Wprawdzie trochę się już przyzwyczaiałam do tego sprzątanania, niemniej jednak jeden dzień w tygodniu dla rodziny to trochę mało. Moja monotonia jest ostatnio na tyle urozmaicona, że raz sprzątam łazienki, a raz odkurzam (zależy co w danej chwili jest potrzebne). Jeżeli ma się świadomość, że nie jest się tutaj na stałe to jakoś leci. Szefowie i inspektor – trzech młodych, przystojnych panów , są bardzo w porządku. Klientki – zależy jak się trafi. Najbardziej „dają mi w kość” starsze stażem koleżanki z pracy. Jeśli chodzi o napiwki to przed świętami było ich naprawdę sporo, ale tu jest podobno taki zwyczaj. Teraz natomiast czasem się zdarza 5 \$, lub worek ubrań. Też miłe.

Tak sobie ostatnio chodzę i rozmyślam: to, że tu jesteśmy wszyscy razem, stanowi duży ewenement. W tej chwili jesteśmy już prawie po studiach a pracy w Polsce i tak nie mamy. Pasowałyby przywieźć tyle pieniędzy, żeby po powrocie coś dało się wykombinować. Nie ukrywam, że łatwo tu nie jest ale pieniądze zarabia się duże i szkoda byłoby zmarnować taką szansę. Natomiast wcale nie myślimy aby tu zostać na stałe bo się nam tutaj nie podoba. Myślę głównie o mentalności i ideologii środowiska polonijnego, w którym się obracamy. Ważne jest moim zdaniem, żeby z tego wyjazdu wycisnąć maksymalnie wszystkie korzyści a na koniec obowiązkowo trochę zwiedzić. Na razie kończę bo muszę ugotować zupę gulaszową żeby starczyła przynajmniej na cztery dni. Pozdrawiam serdecznie A.

Hej !

27.02.2001

Wczoraj były Damiana urodziny (ćwierć wieku). Niespodzianek to ja w tej Ameryce robić nie umiem, bo zupełnie nie mam czasu. Kupiłam więc balony i postanowiłam upiec tort. Musisz wiedzieć że pieczenie stanowi tutaj dla mnie bardzo duże wyzwanie. Przede wszystkim muszę uważać, żeby nie kupić słonej margaryny. Poza tym mam „zdychający” mikser (ze sklepu z używanymi rzeczami), problem z ustawieniem odpowiedniej temperatury w F, mam za mało naczyń itp.

Tym razem wszystko odbyło się tak jak zawsze, z tym że torcik z konieczności musiał być kwadratowy. Ale za to kupiłam trochę urodzinowych rekwizytów i jakoś było... Pozdrawiam serdecznie. A.

Cześć Beatko

19.03.2001

Zrezygnowałam z pracy w serwisie. Decyzję podjęłam spontanicznie – po kolejnym „starciu” z koleżankami z grupy. Siedzę więc chwilowo w domu i zastanawiam się co dalej robić. Dzwoniłam na różne ogłoszenia, ale coś się nie oddzwaniają. Dzisiaj za to dzwonił mój poprzedni szef i powiedział, że może za tydzień, dwa znowu zacznie się praca w hotelu! Na razie wołam się nie cieszyć, ale chyba zaryzykuję i poczekam. Dopóki chociaż jedno z nas pracuje, to da się jakoś żyć. Tu jednak jest zupełnie inaczej pod względem bytowym niż w Polsce.... Damianowi ostatnio co noc się śni, że wracamy do Polski... To chyba dobrze, bo dotychczas nic się nam wogóle nie śniło. Rozumiesz? Wogóle nic! Tzn. przepraszam – mnie się czasem śni jako koszmar, że sprzątam łazienki!!! Słyszałam kiedyś o czymś, co nazywają „snem emigranta”: wracasz do kraju, a tam jest tak

brzydki i nieciekawie, że strasznie żałujesz, powrotu - budzisz się i z ulgą stwierdzasz, że to był tylko sen. Podobno, gdy się komuś przyśni coś takiego, oznacza to, że chce zostać tu na stałe nawet jeśli nie zdaje sobie jeszcze z tego sprawy. Nam to na szczęście nie grozi.... A

Czołem!

22.04.2001

Wygląda na to, że znowu zaciągnęłam się do hotelu. Znajduje się w małej miejscowości na przedmieściach Chicago i jest położony na polu golfowym. Na razie sezon się dopiero rozkręca, więc zarabiam ciut mniej niż przedtem, ale im bliżej lata tym będzie lepiej. Najważniejsze, że się zahaczyłam. Pokoje są niestety większe niż poprzednio i organizacja pracy dość kiepska, ale do wszystkiego się można przyzwyczaić. Najgorsze są łóżka do ścielenia, bo na każde przypada po trzy prześcieradła, koc i narzuta, co się okropnie zwija jedno pod drugim, dopóki człowiek nie dojdzie do wprawy. Najważniejsze, że każdy pracuje tam sam na siebie, no i jedzonko też jest całkiem, całkiem. Ogólnie nie jest źle! Jedynym mankamentem tej pracy jest dojazd bo miejscowość jest dość daleko od Chicago i komunikacją tam się nie da dojechać. Sprowadza się to do ciągłego blagnia, żeby mnie ktoś przy okazji podwiózł (odpłatnie rzecz jasna). No ale dobrze jest jak jest... Pozdrawiam A

Hej!

08.12.2001

Siedzimy ostatnio jak na szpilkach i nie możemy się doczekać wiadomości, co z tą pożyczką na nasze pierwsze, własne mieszkanie. Trochę jesteśmy przez to podminowani bo to taki „stan zawieszenia”. Musi się udać więc trzymaj mocno kciuki! Ostatnio zrezygnowałam z pracy w hotelu bo sezon się kończy i zaczynałam mieć coraz mniejsze dniówki. Siedzę więc z Bartkiem w domu i czekam na telefon w sprawie sprzątnięcia biur bo złożyłam aplikację. Praca nocna kalkuluje mi się najbardziej bo bym przynajmniej miała tyle pieniędzy ile zarobię. Damian nadal pracuje u Tomka (robią parkiety). Ciągłe się kłoca, ciągle rozstają ipracują dalej. Jak to w Ameryce. Poza tym nic nowego. Pozdrawiam A

Hejka!

06.01.2002

W końcu udało się nam kupić to pierwsze własne mieszkanie. Tzn. jest ono takie nie do końca własne bo pożyczkę trzeba będzie spłacać przez 30 lat. Jest małe (jednosypialniowe), ale bardzo przytulne. Od dwóch dni jesteśmy już przeprowadzeni, a od paru godzin to nawet rozpakowani. Wygląda na to, że rozpoczęliśmy kolejny etap w naszym amerykańskim życiu, czyli „cygańską włóczęgę”. Mamy nadzieję, że uda nam się w ten sposób zarobić jakieś większe pieniądze. Plan jest taki: przez rok jakoś wspólnie to mieszkanie wyremontujemy, a potem sprzedamy i kupimy większe. Moment jest dobry, bo po ataku terrorystycznym bardzo spadły ceny nieruchomości. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę jak paskudnie było w wynajmowanym mieszkaniu i jak drogo w stosunku do jakości. Tutaj jest na razie ślicznie: są firaneczki w oknach, biała (czysta!) wykładzina podłogowa w pokojach, drewniane szafki w kuchni, nowa kuchenka gazowa i nowa ogromna lodówka. Dostaliśmy z „odzysku” sofę i fotel do living roomu, które choć są okropnie kiczowate w pokoju komponują się całkiem sympatycznie. Przez te „duże inwestycje” i małe wycieczki, pod koniec roku troszkę się splukaliśmy, więc wygląda na to, że około miesiąca pomieszkamy sobie w tym przytulnym gniazdku zanim zgromadzimy fundusze na remont. Dobrze by było gdyby się nam udało zrealizować tutaj kilka takich przeprowadzek zanim wrócimy do Polski ale na razie wolę nie wybiegać zbyt daleko w przyszłość. Zdałam sobie sprawę, że bardzo mi brakowało takiej domowej atmosferki, więc nieznaczne przesunięcie remontu wcale mnie nie martwi.... Pozdrawiam serdecznie.

Cześć!

19.01.2002

Jest godz. 1:30 w nocy a ja jem właśnie lunch! Wcale nie oznacza to, że podjadam w nocy, lecz że jestem w najprawdziwszej pracy. Otóż ostatnimi czasy zajmuje się sprzątnięciem sklepu. Zaczynam pracę o 9:00 wieczór a kończę o 7:00 rano. Po przyjeździe nas tutaj zamykają i jesteśmy zupełnie sami aż do rana. O 7:00 rano otwiera nas menager i wtedy dopiero możemy iść do domu. Jest to sklep odzieżowy, bardzo ładny i bardzo ekskluzywny. Nazywa się „Banana Republic” i usytuowany jest w centrum. Sprzątam w trójkę (czasem w czwórkę) i jestem tam najmłodsza. Jest nas dwie lub trzy kobiety i jeden mężczyzna., którego zadaniem jest czyszczenie podłóg specjalna maszyna.. Praca nie jest bardzo ciężka, stawkę godzinowa mam przeciętna ale wychodzę na tym dużo

lepiej bo nie muszę połowy zarobku oddawać niani. Mam też trochę więcej czasu dla mojego Bartusia. Nie jestem przyzwyczajona do pracy „na godziny” więc wszystko robię za szybko i potem mi się nudzi. W nocy czas jakoś wolniej płynie... Strasznie to śmieszne, że pisze do Ciebie list i jeszcze mi za to płacą. Taka praca na godziny też ma swoje uroki.

Chociaż nie bardzo lubię Amerykę to uczciwie muszę przyznać, że ten wyjazd wszystkim nam się przydał. Nie jest tu łatwo ale dzięki temu wiele można docenić i naprawdę wiele się nauczyć. Uważam, że cała nasza trójka bardzo wydozrosła przez te półtora roku. Staliśmy się bardziej zaradni i nauczyliśmy się wdrapywać do celu. Cieszę się, że jesteśmy tutaj wszyscy razem, nadal nierozłączni. Łamiemy schematy i tworzymy taką rodzinę, jaka moim zdaniem powinna być. Odnoszę wrażenie, że celem życia tutaj jest głównie pieniądze. Wogóle ze sobą nie przebywają bo nie mają takiej potrzeby a dzieciom tak organizują zajęcia, żeby miały jak najmniej czasu wolnego (bo „tutaj jest Ameryka i łatwo można wdepnąć w g.....”).

No to pa, wracam do pracy, bo na mnie dziwnie patrzą. A

Dzien dobry!

15.04.2002

Tak się składa, że po okresie kontaktów telefonicznych znowu będę musiała wrócić do naszej niezawodnej korespondencji. Wcale mi się to nie podoba, gdyż rozmowa z Polakami stanowi dla mnie tutaj jedną z głównych atrakcji.

Remont ruszył pełna para i chociaż ciągle nam się coś „knoci” to jednak posuwamy się do przodu. Łazienka już prawie skończona – zostało nam jeszcze pomalowanie wanny. Tutaj można pomalować starą wannę zamiast kupować nową. W sypialni jest już zaczęta drewniana podłoga. Chwilowo nie można jej dokończyć bo Damianowi ukradli w pracy narzędzia. Pościągane są też wykładziny a jutro mam zamiar „oddłubać” płytki na podłodze w kuchni.

Niespodziewanie zakwitła u nas wiosna, której tak naprawdę w Ameryce nie ma. Wczoraj ubieraliśmy kurtki a dzisiaj krotki rękawek. Ciekawa jestem ile wiosen trzeba tutaj przesiedzieć, żeby to przestało szokować. A

Czołem!

15.10.2002

Jutro nasza wspólna znajoma Marysia leci do Polski, więc zmobilizowałam się, żeby coś napisać. Posyłam też trochę zdjęć z naszej cudownej wycieczki. Chociaż moment na wyjazd nie był najlepszy, to niczego nie żałujemy. Ostatecznie to przecież właśnie zwiedzanie było głównym powodem naszego przyjazdu tutaj. Tak między nami mówiąc to w Ameryce nie ma właściwego momentu, żeby przerwać pracę i gdzieś pojechać...

Damian ostatnio stał się wziętym fachowcem, zarówno jako podłogowiec, jak i stolarz budowlany. Polubili się nawzajem ze swoim nowym bossem i podobno za dwa tygodnie ma dostać kolejną podwyżkę. Ja natomiast wzięłam się za szukanie pracy, bo w tej Ameryce gdy się nie pracuje to człowiek czuje się jak „upośledzony”. Skierowałam poszukiwania na „commercial cleaning”. Ponieważ nie mam samochodu i w dodatku - ze względu na Bartka - chcę pracować w nocy – sprawa jest trudna. Póki co, dwa razy w tygodniu po dwie godziny opiekuje się malutką, amerykańską dziewczynką – Larysa i mam z tego tzw. kieszonkowe. Wszyscy mnie tu w okolicy znają, albo przynajmniej kojarzą, bo ze względu na pogodę i odległość poruszamy się z Bartkiem na rowerze (Bartek w siodełku rzecz jasna). Ma to taki plus, że oboje jesteśmy dotlenieni, a ja mam całkiem niezłą kondycję. Mieszkanko jest nadal ładniutkie, ale niestety nadal niesprzedane. Podobno wcale nie jest to jeszcze długo, więc nie ma się czym martwić, ale...czas leci. Pozdrawiam A

Droga Beato

21.05.2009

Udało mi się zdobyć Twój nowy adres od naszej wspólnej znajomej, którą znalazłam przez „Naszą Klasę”. Od mojego ostatniego listu do Ciebie upłynęło już parę lat i w tym czasie zaszło u nas dużo zmian. Nasze „wakacje marzeń” w Ameryce trwają nadal. Przeprowadzaliśmy się wiele razy kupując, reontując i sprzedając coraz to większe mieszkania aż ostatecznie kupiliśmy dom na przedmieściach, w którym zdecydowaliśmy się osiedlić. Damian pozostał przy zawodzie stolarza, z tym, że założył własną firmę, a ja prowadzę niewielki serwis sprząający. Bartek ma już 12 lat i po wakacjach idzie do gimnazjum. Urodziłam też córeczkę – Kamilkę, która w tym roku poszła do szkoły. Modelu naszej rodziny dopełniają dwa psy. Przez te wszystkie lata udało nam się zgromadzić grupę znajomych, którzy nas akceptują i zwiedzić spora część USA. Z teściem nie spotkaliśmy się już nigdy więcej.... A.